

Monika Śliwińska: Stanisława Wyspiańskiego wyścig ze śmiercią

W wyścigu ze śmiercią jest Wyspiański postacią tragiczną, spala się, oddaje energię życiową w zamian za moc twórczą – mówi Monika Śliwińska, autorka książki „Wyspiański. Dopóki starczy życia” w rozmowie z Teologią Polityczną. Przypominamy tę rozmowę w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Wyspiański. Sztuka idei”.

Adam Talarowski (Teologia Polityczna): W 2017 roku ukazała się książka „Wyspiański. Dopóki starczy życia” Pani autorstwa. Na mnie osobiście największe wrażenie wywarły fragmenty dotyczące niekoniecznie szczęśliwej codzienności życia małżeńskiego Stanisława z Teodorą Teofilą Pytko, żoną artysty – unieśmiertelnioną w znakomitych pastelach Wyspiańskiego.

Monika Śliwińska: Życie Wyspiańskiego z Teosią można podzielić na trzy okresy. Pierwszy: przedślubny, przypadający na lata 1894–1900, niezwykle trudny, bo związany głównie z niedostatkiem materialnym, jeśli nawet nie skrajną biedą, a także z nieformalnym statusem tego związku, w którym pojawiła się dwójka dzieci. Drugi okres 1901–1906, to czas, kiedy życie rodziny toczyło się w wynajętym mieszkaniu przy ulicy Krowoderskiej, szczęśliwy dla Wyspiańskiego i pomyślny zawodowo, choć przecież zdeterminowany jego chorobą. Wreszcie

trzeci, trwający zaledwie rok, kiedy przeprowadzają się do podkrakowskich Węgrzec. W tych latach śmiertelna choroba wyniszcza nie tylko ciało Wyspiańskiego, ale także jego małżeństwo.

Czy jego pożycie z Teosią było nieudane? Tego bym nie powiedziała. Niewątpliwie odcisnęły się na tym związku przeróżne trudności i dramaty, przede wszystkim jego choroba, kiła, jednak to właśnie z rodziny Wyspiański czerpał siłę i niejednokrotnie dawał temu wyraz w swojej twórczości. Po jego śmierci, kiedy rodzina została rozbita, jego najbliżsi – zarówno dzieci, jak i Teosia – wracali pamięcią do lat spędzonych w mieszkaniu na Krowoderskiej, najszcześniejszych.

Gdzie sytuuje się Wyspiański na tle młodopolskiej chłopomanii i co powodowało nim, gdy postanowił związać swe życie właśnie z przyszłą żoną, odległą od niego społecznie i kulturowo?

Wyspiański nie był człowiekiem poddającym się wpływom, tendencjom czy modom i trudno sobie wyobrazić, że w tak istotnej kwestii jak małżeństwo kierował się czymś innym niż głos serca i poczucie obowiązku wobec kobiety, z którą przecież żył na długo przed ślubem. Jestem daleka od łączenia trzech głośnych ślubów tamtej epoki z chłopomanią, która już w definicji ma dużo szerszy kontekst. Śluby malarza Włodzimierza Tetmajera i poety Lucjana Rydla z siostrami Mikołajczykównymi wzięły się z decyzji głęboko przeżytych i odczuty, a nie z powierzchownego zachwyty czy idealizowania galicyjskiej wsi i jej mieszkańców. To, że patrzymy na ożenek Lucjana Rydla anegdotycznie w dużej mierze wynika z legendy *Wesela* i tego, że zbyt dosłownie bierzemy to, co napisał Tadeusz Boy-Żeleński w swojej *Plotce o Weselu*, swoją drogą znakomitej, ale jednak plotce.

A co sądzi Pani o funkcjonującym w otoczeniu Wyspiańskiego domyśle (o czym wiem z Pani książki), że na decyzję o ślubie wpływ wywarła lektura *Zmartwychwstania* Lwa Tołstoja - utworu, będącego świadectwem przełomu światopoglądowego jego autora, ukazującego dylematy moralne głównego bohatera, Niechludowa, odnośnie małżeństwa z prostą dziewczyną, którą niegdyś wykorzystał i porzucił?

Z lektury krakowskich dzienników, ale także z różnego rodzaju intymistyki z tamtego okresu wiem, jak wielkim powodzeniem cieszyło się *Zmartwychwstanie* Lwa Tołstoja w Galicji, ale i w Kongresówce. I tak na przykład krakowski „Czas” pisze nie tylko o książce, ale i o autorze, a nawet o córce Tołstoja, Tatianie, bo najwyraźniej o tym krakowianie chcieli czytać. O wrażeniu, jakie wywarła powieść Tołstoja na Wyspiańskim pisze jego kuzynka w niepublikowanych dokumentach rodzinnych, do których dotarłam. Co ciekawe, krakowianie też łączyli decyzję Wyspiańskiego ze *Zmartwychwstaniem*, co potwierdza wpis w pamiętniku Aleksandry Czechówny, doskonałe kompendium na temat obyczajowości Krakowa z przełomu wieków. Czy Wyspiański ożenił się pod wpływem lektury Tołstoja tego powiedzieć ze stuprocentową pewnością nie można, tak jak nie można być kategorycznym, gdy idzie o wybory serca czy światopogląd. Ale można przypuszczać, że wszystko to, co odczuwał książkowy Niechludow – problem winy i odkupienia, moralnego zadośćuczynienia, odpowiedzialności za drugą osobę, za jej przeszłość, teraźniejszość i przyszłość – dotyczyło także Wyspiańskiego. Daje temu wyraz w swoich decyzjach życiowych i w twórczości, w której przecież wybrzmiewają wątki autobiograficzne

Co było niezwykłego w tym małżeństwie i jak można spojrzeć na nie w świetle światopoglądu Wyspiańskiego?

Gdyby Wyspiański pozostał jednym z wielu wyróżniających się artystów Młodej Polski powiedzielibyśmy, że nic niezwykłego nie działo się w jego małżeństwie, bo zarówno przed nim, jak i po nim artyści, inteligenci żenili się z kobietami z gminu. Ale Wyspiański już za życia został okrzyknięty czwartym wieszczem, był otoczony kultem, zaczęła rodzić się jego legenda, więc uwaga opinii publicznej skupiła się też na jego życiu prywatnym. Ani jego żona, ani dzieci nie sprostały oczekiwaniom i roli, w jakiej obsadziło ich społeczeństwo, nie udźwignęli tej ogromnej odpowiedzialności. Myślę, że Teosia, żona Wyspiańskiego, już za jego życia – a z pewnością po śmierci – tak naprawdę nie była do końca szczęśliwą kobietą.

Spróbujmy nieco zmienić perspektywę. Jak wyglądało małżeństwo Wyspiańskiego z perspektywy Teodory Pytko?

Trudno wyobrazić sobie, że w chwili kiedy zawiązał się ten romans, jesienią 1894 roku, Teosia miała nadzieję na to, że właśnie ona – dziewczyna z podtarnowskiej wsi, z nieślubnym dzieckiem – zostanie kiedyś panią Wyspiańską. Dużo razem przeszli nim wreszcie pobrali się jesienią 1900 roku. Po sześciu wspólnych latach ona była samotną matką trojga dzieci (Wyspiański był ojcem dwojga młodszych), zdana na jego nieregularne i dość skąpe dochody. On był artystą, który walczył o swoje miejsce w środowisku, śmiertelnie chorym – trzeba o tym pamiętać. Mogła zostawić go po narodzinach Helenki w 1896 roku, kiedy zaraził się kiłą. Mogła wrócić na wieś z dwójką dzieci, żyć po

swojemu, wśród ludzi równych sobie. Tym bardziej, że ze strony najbliższego otoczenia Wyspiańskiego spotkała ją otwarta wrogość – z przykrością przeczytałam w zachowanych dokumentach rodzinnych zapiski o tym, że nasyłano na nią policję w okresie, gdy była w ciąży z ich pierwszym dzieckiem. Mimo tego została przy nim, a gdy nastąpił pierwszy z ciężkich nawrotów choroby, zabrała Wyspiańskiego do rodzinnej wsi i tam leczyła go, jak umiała – z pomocą znachorów. Rok później urodziło się im kolejne dziecko, syn Mietek.

Teosi nie usprawiedliwiam i nie rozgrzeszam. Uważam, że należy się jej prawo do pamięci, staram się zwrócić jej należne miejsce u boku Wyspiańskiego i w dyskusji o Wyspiańskim. Tego samego on także pragnąłby dla niej.

Dwór w Bronowicach poprzez utwór Stanisława Wyspiańskiego stał się jednym z najważniejszych w polskiej kulturze miejsc-symboli. Czy mogłaby Pani przybliżyć „historyczne”, rzeczywiste okoliczności i ich kontekst, które doprowadziły do zdarzenia utrwalonego na zawsze w historii polskiej literatury – ślubu i wesela Lucjana Rydla z Jadwigą Mikołajczykówną, a także jaki był odbiór dzieła w środowisku, które stanowiło dla twórcy inspirację?

Nawet dzisiaj bronowicka chałupa staje się sceną, z której padają najważniejsze pytania o Polskę i Polaków. Dlatego trudno nie uśmiechnąć się na myśl o tym, że o mały włos nie doszłoby do powstania jednego z najważniejszych dramatów w historii polskiej literatury na skutek poróżnienia się obydwu przyjaciół – Stanisława Wyspiańskiego i Lucjana Rydla. Poszło o Teosię Wyspiańską, której

Rydel nie zaprosił na wesele, na co Wyspiański odpowiedział ostrym listem. Konflikt został szybko zażegnany i ostatecznie Wyspiański był świadkiem na ślubie, a następnego dnia przyjechał na oczepiny do Bronowic razem z żoną i córką. Bronowickie wesele stało się kanwą utworu, który momentalnie włączył Wyspiańskiego do grona najwybitniejszych dramaturgów. Prapremiera na deskach krakowskiego teatru odbyła się szybko, bo niespełna cztery miesiące później. Już same próby odbywały się w atmosferze skandalu. Szybko rozniosła się pogłoska, że pierwowzorami postaci dramatu są uczestnicy wesela. Najwięcej przykrości doznała niewątpliwie rodzina Rydlów, zresztą zaprzyjaźniona z Wyspiańskim. Znamienne jest tutaj stanowisko Lucjana Rydla, który choć nie ukrywał rozgoryczenia za sposób, w jaki Wyspiański sportretował jego żonę i siostrę, to jednak doceniał wartość artystyczną tego utworu. W pamiętniku jego kuzynki, Aleksandry Czechówny, znalazłam taki fragment: „Byłoby rzeczą zupełnie ludzką i naturalną, aby on, mając żal do swojego dawnego przyjaciela, chciał obniżyć wartość tego utworu. Tymczasem Lucio [Rydel] postępuje inaczej, *Wesele* stawia bardzo wysoko, może go nawet i przecenia, a kiedy ja podnosiłam moje zarzuty, odpowiedział mi na to – To trudno proszę pani. Kiedy koń się znarowi i ciągnąć nie chce, trzeba go czasem ciąć do krwi. Wyspiański tak nas ciał do krwi i zarzutu z tego robić mu nie można”.

Sam Stanisław Wyspiański był wielorakimi więzami zakorzeniony w Krakowie i w rzeczywistości rodzinno-społecznej i kulturalno-naukowej tego miasta. Jakie było to miasto w ostatnich dekadach XIX wieku, jaka była specyfika jego i jego mieszkańców? Czym było dla Wyspiańskiego? Jaką pozycję zajął w nim już jako dojrzały i doceniany artysta?

Kraków z przełomu XIX i XX wieku był miastem paradoksów. Jeszcze nie był to ten Wielki Kraków rozbudowany przez Juliusza Leo, ale miasteczko na krańcach Galicji, rozdarte między przeszłością a teraźniejszością. Na Wawelu, który dla wielu był – i jest – symbolem polskości, mieściły się koszary wojsk austriackich. A więc miasto koturnowe, ze słabością do celebry, tytułów, konwenansów. I to miasto Wyspiańskiego mierziło, odpychało, było zbyt małe, zbyt ciasne i zbyt duszne, mierzili go ludzie. Marzył o tym, aby stamtąd uciec i robił to nie raz. Z drugiej strony Kraków cieszył się swobodami, o jakich mieszkańcy innych zaborów mogli jedynie pomarzyć. Młodzi studiowali w Paryżu, Wiedniu, Monachium i Pradze albo właśnie w Krakowie, który stał się tygłem artystycznym i kulturowym. I ten Kraków Wyspiańskiego bardzo pociągał. Po Matejce przejął pewnego rodzaju uwrażliwienie na historię tego miasta i jak nikt potrafił ją przetwarzać. Patrzył na Kraków swoimi oczami. Mnie zawsze wzrusza jego wiersz, zaczynający się od słów: „O, kocham Kraków, bo nie od kamieni przykrościm doznał – lecz od żywych ludzi”. Tutaj oczywiście wchodzimy w wątek jego relacji z otoczeniem, w których pozostał do końca człowiekiem osobnym. Paradoksalnie po 1901 roku, kiedy już zmieniła się jego pozycja zawodowa, ten rozdźwięk między nim a społeczeństwem wcale nie zmałał.

Wielki formacyjny wpływ miał na Wyspiańskiego bez wątpienia pobyt w Paryżu, najważniejszej zapewne pod względem kulturowym metropolii ówczesnej Europy. Jakie wrażenie wywarł na Wyspiańskim i jak odnajdował się w centrum Europy młody krakowianin?

Tutaj właściwie jedno ciśnie się na usta: wielka szkoda, że ten pobyt w Paryżu nie potrwał dłużej. Może dzisiaj mówilibyśmy o Wyspiańskim jako o artyście europejskim? Tymczasem to, co pozostawił po sobie w Paryżu to pastelowe portrety paryżan wykonane za 20 franków. Trzyletni pobyt w Paryżu został przerwany po tym, jak cofnięto Wyspiańskiemu stypendium na naukę za granicą. Bez środków do życia, poważnie zadłużony powrócił do kraju. W Krakowie jeszcze długo tęsknił za Paryżem i miał nadzieję na powrót. Nie było mu tam łatwo, ale od początku miał jasno wytyczony cel, chciał iść własną, indywidualną drogą, „poza linię”, jak sam trafnie to ujął. W Paryżu zerwał z matejkowskimi wpływami, narodził się jako dramaturg, jako witrażysta, musiał zmierzyć się ze sobą, gdy pojawiły się pierwsze z wielu niepowodzeń artystycznych. Można by tak wymieniać bez końca.

Zapytał mnie Pan o to, jakie wrażenie wywarł Paryż na Wyspiańskim. Tutaj przypomina mi się zdanie z listu Józefa Mehoffera do matki, który – przypomnijmy – razem z Wyspiańskim mieszkał i uczył się w Paryżu. Tuż po przyjeździe do stolicy Francji ten młody krakowianin pisze: „kupiłem bilet do Paryża za 35 franków – i w dosyć niewygodnych, małych wagonikach francuskich dowlokłem się przed 10 rano do tego Babilonu”.

Niezwykłą cechą portretu Stanisława Wyspiańskiego, który wyłania się z kart Pani dzieła, są wielorakie trudności jakie rodziły się w jego kontaktach z otaczającymi go ludźmi. Podłożem wielu z nich była, kulturowo wyrosła zapewne na podłożu

szlacheckiego dziedzictwa, ale i artystycznej dumy, wielka czułość na punkcie swojego honoru i niezależności. Czy podobnie widzi Pani sylwetkę charakterologiczną twórcy?

Dodałabym do tego traktowanie otoczenia z nieznaczną wyższością, tak jak robiła to jego ciotka i opiekunka, Janina Stankiewiczowa. Rodzinne tradycje patriotyczne, staranne wykształcenie, snobizm towarzyski – tym żyła i temu hołdowała w latach, gdy po rodzinnym majątku nie został ślad. W przypadku Wyspiańskiego była to pewnego rodzaju wyniosłość ducha i nadwrażliwość, która wyostrzała jego kontakty ze światem i przysparzała wielu cierpień. Dodałabym też samotność, której szukał, a czasem przed nią uciekał. Wreszcie chorobę i doświadczenie własnej śmiertelności, stale towarzyszącą mu obawę, że może nie zdążyć – to wszystko z pewnością odcisnęło się na jego kontaktach z otoczeniem.

Ogromne wrażenie robi przytaczana przez Panią anegdota mówiąca o Wyspiańskim, który strofuje młodego adepta chcącego tworzyć o rusalkach nie wierząc w nie wcale. Może być ona chyba punktem wyjścia do stwierdzenia, że wielkość Wyspiańskiego tkwi też w jego autentyzmie, także w niezależności i indywidualności, które tak utrudniały codzienne relacje międzyludzkie ale zaowocowały wspaniałymi realizacjami wyobraźni, tak malarskiej, jak i poetyckiej.

To prawda. Do tego oszałamiająca fantazja i ogromna ambicja, wiara we własne siły i w to, że ma przed sobą zadanie do wypełnienia, pasja tworzenia i przetwarzania. Jego słynne słowa: „ja bym to zrobił inaczej” to coś w rodzaju parafrazowania rzeczywistości. Gdybym miała taką

możliwość, chciałabym zobaczyć, w jaki sposób Wyspiański odpoczywał, bo mam wrażenie, że tego nie umiał, że każda minuta jego krótkiego życia była starannie wykorzystana.

W czym upatruje Pani wyjątkowość Wyspiańskiego?

Dla mnie wyjątkowość Wyspiańskiego leży nie tylko w tym, jak go widzimy na zewnątrz, ale też w tym, co wewnątrz. Chciałoby się powiedzieć – pod podszewką czarnego tużurka. Wzruszają mnie jego słabości i lęki, kiedy boi się śmierci, albo prosi, aby odwiedzać go częściej. Właśnie on, który przed laty przyczepił kartkę na drzwiach z prośbą, aby go nie odwiedzać. Wzrusza mnie u niego ten, chciałoby się powiedzieć, heroizm dnia powszedniego. A więc robić swoje, ani przez moment nie tracić z oczu celu, nie obniżać poprzeczki, nawet jeśli czasu jest mało, choroba odbiera siły, a do drzwi mieszkania zapukał komornik. Bardzo wzrusza mnie to, jak przeżył ostatni rok życia w Węgrzcach, cały ten proces odchodzenia, żegnania się, rozliczania z ludźmi i ze światem. Trzeba być człowiekiem wielkiego formatu, aby umieć odejść w taki sposób, nie tracąc godności nawet w najbardziej poniżających warunkach.

Zgodnie z podtytułem „Dopóki starczy życia” pokazuje Pani w książce Wyspiańskiego także przez pryzmat niezwykle dokuczliwej i utrudniającej codzienne funkcjonowanie choroby wenerycznej. Czy w świadomości Wyspiańskiego perspektywa śmierci zajmowała ważne miejsce?

To jest ciekawe, że on już od wczesnych lat miał przecucie, że umrze młodo. Ale czym innym jest twierdzenie, że nie chce się żyć długo, gdy ma się przed sobą całe życie, a czym innym jest żegnanie się ze światem, gdy ma się jeszcze tak wiele do zrobienia. Choroba, a w konsekwencji perspektywa śmierci, jest drugim bohaterem tej książki. Jest przeciwnikiem, z którym Wyspiański musi się liczyć. Ani przez moment nie traci jej z oczu. Zresztą pisze w jednym z listów: „mnie ona w oczy zagląda co dzień”. W tym wyścigu ze śmiercią jest postacią tragiczną, spala się, oddaje energię życiową w zamian za moc twórczą. W swoim dramacie *Zygmunt August*, pisanym w ostatnich tygodniach przed śmiercią, wkłada w usta Barbary Radziwiłłówny słowa: „Żywot się jako iskra spala”.

Z niedawnej lektury listów Henryka Sienkiewicza zapadło mi w pamięć takie zdanie: „zresztą na nieśmiertelność mam czas”. Wyspiański tego czasu nigdy nie miał i może to właśnie jest dowodem jego wielkości.

Z Moniką Śliwińską rozmawiał Adam Talarowski.